ROZMAITOŚCI.

Dnia 20. Sierpnia | Nr. 34. | Roku 1842.

PAN BOROWSKI.

Mało kto wie, co znaczyła banda albeńska, do której tak się starano należeć, iż każdy miał sobie za wielki zaszczyt być jéj członkiem. Książę Karol Radziwiłł, będąc jeszcze miecznikiem litewskim, utworzył ją w Albie, domu wiejskim z ogrodem pod Nieświéżem. Pan Piszczało, niegdyś księcia nauczyciel, trafiając w myśl jego, przepisy téj bandy ułożył. Patenta podpisywał książę, jako naczelnik towarzystwa, którego kanclérzem do śmierci był pan Ignacy Wołodkowicz, a sekretarzem pan Michał Rejten.— Każdy członek w listach podpisywał się: »Radziwiłłowski przyjaciel«, a książę go nazywał: »Panie kochanku.« Że zaś zawsze ze swoimi Albeńczykami obcował, to nazywanie panie kochanku, zamieniło się u niego w przysłowie, które ustawicznie powtarzał. Mundur Albeńczyków był barwy radziwiłłowskiéj: kontusz słomianego koloru, żupan błękitny, pas umyślnie na to w Słucku robiony, śrebrny w orły czarne z trąbkami, śpinka z emalii błękitnéj, na któréj z brylancików była cyfra z trzech liter: K. X. R. W tym mundurze trzeba było chodzić w Nieświéżu; a gdyby kto nie mając patentu, ważył się gdziekolwiek ten mundur wdziać na siebie, mógł być pewien, że zostanie zmuszony go zrzucić. I tak pan Skirmunt, co był księcia komisarzem na księztwie birzańskiém, nie będąc do tego upoważnionym, ale zaufany w stopniu, który trzymał między sługami księcia, pokazał się raz w tym mundurze na licznem zgromadzeniu u pana Burby, cześnika rosieńskiego, a rządcy jeneralnego ekonomii szawelskiéj. Ale na swoje nieszczęście, znalazł tam dwóch prawdziwych Albeńczyków: pana Bonifacego Sołohuba, koniuszego nowo-grodzkiego i pana Jana Wierzejskiego, rejenta sądów zadwornych. Ci na niego napadli, mundur zdarli, i jeszcze samego wysztukali, lubo to było w uczciwym domu. Pan Skirmunt o to żalił się przed księciem, ale książę, nietylko że przyznał słuszność panom Sołohubowi i Wierzejskiemu, ale nawet oddalił pana Skirmunta, bo sam ściśle przestrzegał ustaw zgromadzenia, którego był twórcą.

Żeby być przypuszczonym do tego grona, trzeba było być szlachcicem karmazynowym i osiadłym, tęgim do korda, dzielnym do konia choćby najdzikszego, w sztuce łowieckiéj doświadczonym, i niepospolitéj odwagi. Książę nie mógł nikogo patentować, jeno za wstawieniem się dwóch części całego towarzystwa. Obowiązki patentowanych były: stawić się na każde wezwanie księcia konno i w całym rynsztunku, iść z nim, gdzie ich poprowadzi, a nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, w każdym wypadku łba nadstawić za honor Najświętszéj Panny, księcia Wojewody, swój własny, i każdego z członków towarzystwa. — Były rozmaite przepisy dla téj szkoły prawdziwie bohatérskiéj: w rzędzie innych ten, że dwaj Albeńczycy, mający między sobą zajście, nie mogli się ciągać po jurysdykcyjach, ale powinni byli rzecz kończyć u siebie, zdając się na jednego z kolegów, który w pewnych okolicznościach miał władzę dozwolić im nawet rozprawy na szable, jeźli innego nie było sposobu do zgody. Z tego powodu zdarzył się zabawny wypadek w Nieświéżu, który szczególnie okazał dobroć księcia.

Razu jednego, zjechało się kilku Radziwiłłowskich przyjaciół w Samuelowie u JW.

Mikołaja Morawskiego, jenerała wójsk litewskich. Między nimi był pan Leon Borowski, od śmierci pana Wołodkiewicza najpoufalszy domownik księcia, i pan Bonifacy Sołohub, co to kiedyś pana Skirmunta wyszturkał. Pan Bonifacy strzélał nic potém, bo miał wzrok krótki; ale z oszczepem na niedźwiedzia żwawo chodził, bo był silny i nieustraszony. Miał on strzelbę dwu-rurną hiszpańską, nad jaką lepszéj u samego księcia nie było, i zawsze z sobą ją woził. Pan Leon, co nadzwyczajne miał oko, chciał jéj koniecznie dostać i różne mu proponował facyjendy. Ofiarował za nią cztéry konie siwo-pstrokate, któremi przyjechał do Samuelowa; ale i to było napróżno, bo lubo pan Bonifacy do nich dość się palił, był twardy i ciągle go zbywał, powtarzając:

»Prędzéj się ze skórą niż z dubeltówką rozstanę.«

»Na co ci się ona zda, kiedy ty strzélać nie umiész?«

»Czy umiém, czy nie umiém, to nie twoja rzecz, a strzelby nie dam.«

»A jużci kto ma strzelbę, powinien okazać, że ona mu się zda na coś.«

»To szczęście, że ty nie jesteś łowczym wielkim litewskim, bo twój zarzut mógł mnie obchodzić, ale wiém, że może strzélam tak dobrze, jak ty.«

»Możesz tego dać dowód: Niedaleko dworu jest knieja niewielka, ale dobra; obrzućmy ją siécią, mam sworę gończych z sobą, od których lepszych i w Nieświéżu nie znajdziesz, a cała psiarnia JW. jenerała jest na twoje usługi, on obławy nam nie odmówi ani dojeżdzaczów. Pójdźmy więc ze świtem do kniei, prócz ciebie nikt strzélać nie będzie. Jeżeli wyniesiesz źwiérza, ja ci oddam moje cztéry konie, a jeżeli skwasisz polowanie, pożegnaj się z swoją strzelbą.«

»Zgoda! ale zróbmy układ na pismie i wręczmy go JW. jenerałowi, bo jak ubiję źwiérza, to ty żarcikami gotów mnie zbyć, wszak my się nie od dnia wczorajszego znamy!«

»Pisz, co ci się podoba, ja wszystko podpiszę, bo wiém, że ubijesz źwiérza, jak ci na nosie chyba siądzie.«

Wziął tedy pióro i papiér pan Bonifacy i napisał transakcyją formalną, mocą któréj pan Leon Borowski, komornik słonimski, obowiązywał się oddać panu Sołohubowi, koniuszemu nowo-grodzkiemu cztéry konie siwo-pstrokate wraz z uprzężą, jeżliby ten na polowaniu warunkami określoném w przeciągu trzech godzin ubił źwiérza; w przeciwnym zaś przypadku, strzelba dwururna pana Sołohuba z napisem: **DIEGO MAS TOLEDO**, złożona w ręce JW. Mikołaja Morawskiego, jenerała litewskiego, uproszonego za egzekutora dobrowolnéj umowy, miała przejść na własność pana Borowskiego. Transakcyja podpisana została przez obie strony i pieczętarzy, a JW. jenerał natychmiast wszelkie przygotowania rozporządził.

Cały dzień pan Leon napastował p. Bonifacego żarcikami, ale pan Bonifacy fantazyi nie tracił i powtarzał: »Obaczymy, kto wygra zakład.«

Nazajutrz przed piątą jeszcze, wszyscy już byli w kniei samuelowskiéj zwanéj Koski. Po niejakim czasie, wprzód nim psy głos dały, usłyszano strzał. Wszystkich to mocno zadziwiło. Aż tu pan Bonifacy wydobywa się z gęstwiny, ciągnąc za ogón jednego z psów pana Leona, którego dopiéro przestrzelił, i odzywa się:

»Proszę o konie, ubiłem źwiérza.«

»Jak to?« powiedział pan Leon, »ty za psa mi zapłacisz — a pokaż zająca, jeźli chcesz, aby konie były twoje.«

»Przeczytaj opis panie bracie, tam o zającu nié masz wzmianki, tylko o źwiérzu, a spodziéwam się, że pies źwiérzę.«

»Do kogo innego wpan idź ze swojémi krotofilami, a ja pana jenerała proszę o strzelbę.«

Pan jenerał na to:

»Odczytamy w domu opis, a gdy strony mnie poruczyły onego dopełnienie, do niego stósować się muszę.«

Wrócili wszyscy do domu, pan Leon nie posiadając się ze złości, a pan Bonifacy za boki trzymając się od śmiechu. Przybywszy do domu pan jenerał włożył okulary, przeczytał transakcyją i powiedział:

»Nié masz wyrażonego rodzaju źwiérza, co miał być ubity; zatém wedle opisu w istocie pan Bonifacy wygrał zakład.«

»Ja na to nigdy nie przystanę«, odezwał się pan Leon, »odwołuję się do sumienia wszystkich myśliwych, czy pies może uchodzić za źwiérzę?«

»A jużci nie ryba«, rzekł pan Bonifacy, »pożegnaj się z końmi panie Leonie, a nadal w opisach twoich lepiéj się pilnuj.«

»Ty moich koni nie dotkniesz, a strzelba moją będzie, chyba pana Boga nié masz na świecie! Jeżeli pan jenerał z mojéj własności mnie wyzuje, mamy jurysdykcyje, do nich się udam po sprawiedliwość; prędzéj cały majątek stracę, niż pozwolę, aby mnie błazeństwem gnębiono.«

»Nie strasz mnie ziemstwem ni grodem, bo my obadwa Albeńczyki, musimy między sobą wszelkie zatargi kończyć. Ja na żadne twoje pozwy nie stanę, błaźnić się nie chcę; który z naszych niech nas sądzi, ja na każdego przystaję, najwłaściwiéj, by gospodarz stanowił.«

»Z przeproszeniem JW. jenerała, jak się na niego zapiszę, to zasłużę, by mi szarą gęś przypięto. Pan jenerał przed wprowadzeniem sprawy, już wpanu słuszność przyznał; piękniebym wskórał w jego sądzie.«

A pan jenerał: »Ja się nie ubiégam, bym wasze spory rozstrzygał; zapiszcie się na kogo chcecie, a ja zatrzymuję konie i strzelbę u siebie i temu oddam, komu je dekret kompromisarski przysądzi.«

»Przystaję na to«, odpowiedział pan Bonifacy, »piszę się, na kogo zechce pan Leon, byle na Albeńczyka. Uważajcie panowie moję powolność; wygrawszy sprawę, poddaję się pod sąd, bo wedle opisu rzecz skończona i mam niezaprzeczone prawo do koni jak i do strzelby.«

»To wpan tak sobie tłómaczysz interes; ale obaczymy, co inni powiedzą. Jeżeli ci, co psy biją, mają się nazywać myśliwymi, to moje konie przepadną.«

»Ja o wpana przycinki nie stoję. Całe życie przywykłeś z drugich żartować, to wpanu teraz nieznośnie, że z samego zażartowano. Ale tu idzie o rozstrzygnienie rzeczy, kto ma nas sądzić?«

»Ja na samego księcia Wojewodę się zdaję.«

»Zgoda, niech naczelnik nas sądzi. JW. jenerał miał dziś do Nieświeża jechać, jedźmy z nim i tam kończmy. JW. jenerał nie zapomni zawieść z sobą naszego opisu. A patrz panie Leonie, jak sprawa ze mną łatwa; że już ty spieszony, ofiaruję ci miejsce na mojéj bryczce.«

»Nie doczekasz nigdy, abym z twojéj łaski miał korzystać; wolę iść piechotą, niż siedzieć na wpana powozie. Ja choć lubię żartować, ale bez cudzéj krzywdy, a wpan po moją własność sięgasz. Wstydziłbyś się z taką sprawą przed księciem występować, śmiéchu tylko z siebie narobisz. Trzymaj już nareszcie strzelbę, ale dla Boga, odczep się od moich koni.«

»O prawda, jaki wpan mądry! Tylko, że nie wmówisz we mnie, bym odstąpił od mojego; sam się wstydzić będziesz w Nieświeżu za swój upór, i że będąc komornikiem, dałeś się złapać w opisie przez takiego, co nigdy nie był w palestrze. A kiedy nie przyjmujesz mojéj grzeczności, mniejsza i mnie z tém, że wolisz iść piechotą, niż obok mnie siedzieć.«

Pan Leon nic nie odpowiedział, a widząc, że wszyscy w tym interesie sprzyjali panu Bonifacemu, tak się rozzłościł, że od nikogo miejsca przyjąć nie chciał w powozie, choć mu je każdy uprzejmie ofiarował, ale u arędarza furę najął i sam jeden puścił się do Nieświeża. Zjechawszy się w Nieświeżu, opowiedziały strony interes księciu, prosząc go, by chciał zostać superarbitrem. Na to książę:

»Dobrze, podejmuję się tego. Jedźcież więc do Nowogródka i wracajcie z przyznaną inskrypcyją.«

Zaczęto ją pisać. Pan Leon chciał koniecznie, by w niéj domieszczono, że książę wojewoda wileński, będzie sądził rzecz wypływającą z komplanacyi w Samuelowie zawartéj, tłumacząc wyrazy wedle ich znaczenia powszechnie przyjętego, ale pan Bonifacy temu się oparł, sprawiedliwie wnosząc, że takie informacyje w inskrypcyi, byłyby pewną nauką ubocznie księciu daną, przeciwną delikatności winnéj tak wielkiemu mężowi, i kiedy książę podejmuje się sądzić sprawę, to nie może być jak tylko sędzią bezwarunkowym, i strony wszelką ufność powinny w nim położyć. Dał się przekonać pan Leon, bo w tém jednomyślnie wszyscy przytomni przyznali słuszność

panu Bonifacemu. Pojechali więc z inskrypcyją do Nowogródka, ale każdy osobno, bo pan Leon tak był rozjątrzony na pana Bonifacego, że mówić z nim nie chciał, a cóż dopiéro obok niego w pojeździe siedziéć. Pojechali więc, przyznali inskrypcyją przed grodem i nazajutrz wrócili do Nieśwież z wszelką gotowością. Książę zapisał akt sądu kompromisarskiego i kazał sprawę wprowadzić. A że był biegłym w sądownictwie, pomiarkował, iż strony będąc na siebie bardzo zawzięte, nie mogłyby tłumaczyć swojéj rzeczy bez wzajemnych lezii, po których jako ludzie odważni i zuchwali skończyliby na gorszém. Gdy przytém obadwa byli mu miłymi, i gdy zawsze między swoimi Albeńczykami ile możności jedność chciał utrzymać, nie pozwolił żadnemu z nich ani słowa wyrzéc przed ogłoszeniem dekretu i naznaczył kary po dwieście złotych na rzecz Bonifratrów nowogrodzkich, za każde odezwanie się tak jednéj jako i drugiéj strony. Z tego powodu obligował mnie pan Leon, abym od niego stawał. Pana Bonifacego obrońcą był Jérzy Płaskowicki, okólniczy smoleński, jeden z Albeńczyków szczególnie szanowanych od księcia. Onto w czasie bezkrólewia zastępując miejsce Rejenta aktowego w Nowogródku, przyjął przeszło sześćdziesiąt manifestów od obywateli żalących się na konfederacyją jeneralną, łubo ta konfederacyja pod karą *abjudicationis ab omni activitate* zabroniła kancelaryjom przyjmować wszelkich manifestów przeciw jéj czynnościom. Za to został uwięziony i przez moskiewską komendę prowadzony, Bóg wié dokąd, ale szczęściem nie dochodząc do Swierznia, pan Aleksander Odyniec napadł na komendę, rozsypał ją i uwolnił pana Płaskowickiego, który kilka lat po Prusiech musiał się tułać. Dopiéro konfederacyja radomska zdjęła dekret *abjudicationis* i banicyi, na niego przez kaptur nowogrodzki ferowany; a dla większego dowodu, iż mu się *activitas* wróciła, król Stanisław dał mu przywiléj na okólnictwo smoleńskie.

Każda strona na żądanie samego księcia dodała mu po jednym arbitrze *cum voce consultativa.* Od pana Leona zasiadł p. Michał Rejten, pisarz ziemski nowogrodzki, a pan Bonifacy uprosił pana Józefa Radziszewskiego, chorążego staro-dubowskiego. Wprowadzenie sprawy, indukta, repliki, wysłuchanie świadków, trwały dni dwa, po których upłynieniu książę ogłosił dekret, przysądzający cztéry konie panu Bonifacemu Sołohubowi, a stosując się do konstytucyi 1784 roku, za sprzeciwienie się pana Leona Borowskiego dobrowolnemu opisowi, nakazał mu zapłacić grzywien około 200 złotych na rzecz pana Bonifacego, z których potrącił ośmdziesiąt złotych na bonifikatę szkody jego poniesionéj w psie gończym, zastrzélonym przez pana Sołohuba.

Pan Leon, gdy czytano dekret, pobladł, wargi mu się trzęsły, i nie podziękowawszy księciu, w niepohamowanym gniewie natychmiast wyjechał z Nieśwież. Przybywszy do Niehorely, dóbr, które z łaski księcia za bezcen trzymał, napisał list do księcia pełen wymówek, wyrzucając mu niesprawiedliwość, i odséłając mundur albeński z oświadczeniem, że już do tego towarzystwa należéć przestaje, nie chcąc miéć dłużéj nad sobą naczelnika, tak parcyjalnego w sądzeniu. Dodał przytém, że nieprawemu wyrokowi nigdy nie ulegnie, że jako wolny szlachcic, będzie szukał sprawiedliwości po sądach szlacheckich, nie znajdując jéj w kaprysach pańskich—i inne dotkliwe rzeczy. Książę gdy odebrał list, głośno kazał go odczytać. Myśmy potruchleli na taką zapamiętałość pana Leona względem swojego dobroczyńcy. Ale książę zamiast coby się miał obruszyć, zaczął się śmiać do rozpuku, mówiąc:

»Panie kochanku, coś pan Leon bardzo się rozchymerował, jednak jakoś się da przeprosić.«

Tu nie koniec. Pan Leon wyraźnie jakby do niego coś przystąpiło, zaczął ciągać księcia po sądach, usiłując wszędzie zwalić kompromisarski dekret, a wszędzie przegrawszy, podał na księcia prośbę do rady nieustającéj. Dopiéro książę się obraził, bo téj jurysdykcyi nie nawidził, i opiérał się co miał siły, jéj ustanowieniu, był albowiem przekonany, że ona jest niezgodną z wolnością obywatelską, z niezawisłością władz sądowniczych, i z powagą sejmów. Istotnie, jakaż może być udzielność sejmowa w two-

rzeniu praw, skoro jest magistratura tłumacząca też same prawa? Pan Leon nic zgoła nie wskórał, bo rada nieustająca odmówiła mu uchylenia dekretu, tém więcéj, że w ówczas jéj marszałkiem był JW. Jelski, podkomorzy smoleński, mąż światły i znający, że w narodzie żadna rada nie jest w prawie naruszyć świętości kompromisu; a książę do najwyższego stopnia obrażony, zaawizował pana Leona o wykupno Niehorely, i złożywszy sumę przed aktami, odebrał na siebie majątek, więcéj rocznego dochodu przynoszący, niżeli wynosiła cała kwota zastawą na nim oparta. Nadto jeszcze się odgrażał, że na tém nie poprzestanie i kilkakrotnie prawie codzień przed nami powtarzał:

»Panie kochanku, nié mam ani przyjaciół ani sług wiernych. Pan Leon mnie ukrzywdził, a nikt się za mną nie ujmuje. Biada temu, kto przyjaciół przeżyje! Gdyby był Zawisza, lub Wazgird, lub Bohuszewicz, dawnoby pan Borowski poznał, co to jest Radziwiłła krzywdzić; a cóż dopiero, gdyby Ignacy Wołodkowicz z martwych powstał. Wszyscy Albeńczycy moje folwarki za bezcen trzymają, słudzy się panoszą, i to całe ich przywiązanie.«

Te słowa wnętrzności nam przeszywały jakby nożem, bośmy i pana Leona szczérze kochali pomimo jego dziwactw. On będąc w największych względach u księcia, nie tylko że żadnemu z nas nie był na przeszkodzie, ale owszém każdemu pomagał, za każdym mówił i prosił, tylko za sobą nigdy. Z drugiéj strony, nasze obowiązki dla księcia były święte, my chléb jego jedli i smaczny, i gdyby pan Leon nie przeprosił księcia, radzi nie radzi, musielibyśmy się z nim rozprawić, bo sławy swego pana od napaści bronić trzeba. Przyjaciele tedy i słudzy księcia, zrobiliśmy między sobą jakby jaki sejm, aby jakoś tak rzeczy pogodzić, żeby nie miéć sobie nic do wyrzucenia, ani względem przywiązania i wdzięczności dla naszego księcia, ani względem przyjaźni, którąśmy dochowywali panu Leonowi. A że pan Jérzy Płaskowicki był między nami mężem wielkiego zdania, jedynym do rady, szanowanym przez wszystkich, i mającym wielką wziętość u samego pana Leona, uprosiliśmy go, by się do niego udał i wmówił mu, aby się upokorzył przed księciem, jak sama słuszność tego wymagała po nim, a nie czekał, aż my pomimo że go kochamy, zmuszeni zostaniem, chociaż z boleścią serca, zadość uczynić naszéj powinności, jak tego bywały przykłady; bo książę lubo z uniesienia wyrzucał nam, żeśmy na jego sławę byli obojętni, w duchu dobrze wiedział, że nie tak rzeczy się miały, i niedawno był odebrał dowód, ile jego przyjaciele i słudzy byli do niego przywiązani. Kiedy książę Michał Radziwiłł, w ówczas kasztelan wileński, mając sprawę z księciem wojewodą, sprowadził był na niego aż z Poznania sławnego mecenasa pana Raczyńskiego, co go dobrze w Wilnie pamiętają, bo chodził po niemiecku z ogromną upudrowaną fryzurą i z kólczykiem przy lewém uchu—to gdy on mecenas przeciw naszemu księciu w indukcie wystąpił z lezijami w przytomności kilku Albeńczyków, ci to na pozór obojętnie przyjęli, ale dwóch dni nie upłynęło, kiedy książę kasztelan z panem Raczyńskim wyjechali na kawę do Pohulanki, gdzie już trybunalska jurysdykcyja nie dochodziła. Pan Paweł Uzłowski i pan Bazyli Czeczot, oba Albeńczyki i Nowogrodzianie z kilku sługami księcia Wojewody tam wpadli, i w obliczu księcia kasztelana, jego umocowanemu po kusych pludrach porządną dali pamiątkę. Książę kasztelan tak się przeląkł, by i jemu samemu się nie dostało, że w Wilnie parę niedziel obłożnie chorował, a pan Raczyński wylizawszy się, pocichu, że go świat nie widział, wrócił do Wielkopolski ze swojém nadspodziéwaném honoraryjum. Książę Wojewoda umiał ocenić dowód poświęcenia, ale był nieco markotny, iż z jego powodu chybiło się gościnności na Litwie względem brata Wielkopolanina i to wymawiał, a pan Bazyli Czeczot jeszcze nas wszystkich i samego księcia rozśmieszył, tłumacząc się, że wedle praw naszych *in loco delicti* każdy powinien być karany. Kiedy więc nie oglądano się na JO. księcia kasztelana, wysokiego senatora i imiennika naszego księcia, czegożby się na dal mógł spodziéwać pan Leon? Jednak widać było po księciu, że w duchu taki tęsknił za panem Leonem,

bo choć się na niego odgraża bywało póki trzeźwy, jak się podochoci, przez zapomnienie często go wspomina w dobry sposób, a wyspawszy się, znowu się odgraża.

(Dokończenie nastąpi.)

LIST ALFONSA KARR

DO

KRÓLOWÉJ POMARY,

WŁADCZYNI WYSPY OTAHAJTY.

»Madame! Poddani Waszéj król. Mości przestraszyli się niezawodnie, usłyszawszy po raz piérwszy wystrzał z karabinu, i ujrzawszy zgubne jego skutki. Ale nie mniejsze było ich zdziwienie, gdy ujrzeli, że ten huk i ta nagła śmierć sprawione są kilką czarnémi ziarnkami, które się w wywiercony, żelazny kij wpuszczają: gdy ujrzeli, że te czarne do ziarnek maku podobne kuleczki, zamiast wzrastać i kwitnąć, w znacznéj odległości ludzi zabijają; są one i z tego względu do ziarnek maku podobne, że również usypiają, ale w tém się tylko różnią, iż sen przez nie sprawiony, jest wieczny. — Otóż te czarne ziarnka, które przemocy, tchórzostwu i zręczności przeciw odwadze i sile stanowczą przewagę dają, są niczém w porównaniu z tym wynalazkiem, o którym pani donieść zamyślam.— Piérwsze zależą na zmiészaniu węgli i salétry, a na drugi wynalazek daję Waszéj król. Mości następującą receptę: Nad brzégami kanałów, w śmieciu, i po najbrudniejszych zakatach, zbiérają tysiące ludzi nędzne łachy, obrzydłe gałgany i przegniłe szmaty. Mieszaninę tę składają w piwnicach, aby jeszcze bardziéj zgniła; potém robią z tego ciasto, które się w cienkich płytach wysusza. — Powtóre: W dużych moździerzach tłuką jadowitą truciznę, mającą nazwę galasu, do tego dodają trochę innéj trucizny, witryolu, i z tego robią płyn smutnéj, okropnéj barwy, to jest barwy śmierci i żałoby. — Potrzecie, z wielką troskliwością wydziérają pióra z zwiérzęcia, które jest symbolem głupoty, a którego nazwa — zniewagą; pióra te zaciosują nakształt dzirytu. Gdy się to stanie, siada kilka tysięcy osób, i trudni się następującém rzemiosłem: Przed niémi stoi w małém naczyniu czarny płyn, złożony z dwojga rodzaju pomienionéj trucizny; osoby uzbrojone dzirytem z gęsich piór zaczynają łowić dwadzieścia cztéry znamion, dają im wysychać na tych zgniłych szmatach, o których właściwo nadmieniłem — to znaczy, by się jaśniéj wyrazić, iż umaczawszy gęsie pióro w czarnéj truciźnie, formują na papierze dwadzieścia i cztéry małych znamion, które stawiąc na różny sposób, to wprzód, to w tył, zawsze pozostają też same, ale zawsze w innym porządku.—Tymto sposobem obalają ci ludzie religiję, podkopują królestwo, znieważają i wyśmiéwają szczytność, podżégają nieprzyjaźń, rozpalają wojnę, obudzają gniéw i rozléwają krwi strumienie.—Rzecz jasna, że ten wynalazek jest gorszy, niż owe sławne niegdyś magiczne charaktery i kabalistyczne znamiona czarnoksiężników. Wyobraź sobie Wasza król. Mość człowieka, który o sto mil od Ciebie oddalony, bez wszelkich życzeń w zaciszy swobodnie i szczęśliwie żyje; wybiérz kilkanaście znaków z pomiędzy tych dwudziestu i cztérech, i poszléj mu, a ujrzysz jak ten człowiek zblednie, zasępią się jego oczy; odtrąci od siebie pieszczotliwe dzieci—zaprzestanie podléwać swój ogródek, powiędną jego kwiaty, zatrują się jego potrawy, a życie, szczęście jego na zawsze zniszczone.—A to wszystko dla tego, żeś te przeklęte znamiona w jakowymś ustawiła porządku.—Teraz spojrzyj Wasza król. Mość na tamtego, o drugich sto mil daléj; jestto biédny, młody człowiek, który mieszka pod dachem, bez wszelkich mebli i tylko czarnym sucharem żyje; ciężkie krople łez toczą się po jego licu, nie waży się on już wychylić na ulicę—jest nieśmiały, ale nieśmiałość jego równa się dumie wielkiego pana—sądzi on, że cały świat patrzy na jego nędzę i urąga się jéj;—prócz tego przyznaje on, że świat ma słuszność, jest zniechęcony, czuje, że ani jenijuszu ani talentu nić ma — do niczego się nie przyda; nic nie czyni. Otóż, gdy Wasza król. Mość weźmiesz te same znamiona, którycheś piérwéj użyła, gdy je porozdziélasz, a potém znowu połączysz—gdy jedne tu a drugie tam postawisz.—Spojrzyj, a młody ten człowiek wznosi już głowę; na jego twarzy kwitnie znowu zdrowie, życie, nadzieja— patrzy w niebo—zapomina o przeszłéj i obecnéj nędzy, wychodzi na świat, aby go widziano, witano i podziwiano; wracając do domu, zgina się we drzwiach, tak mocno czuje, że urósł; schyliłby się on nawet pod gołém niebem, aby głową o którą gwiazdę nie zawadził. — Tym sposobem, Madame, i témi środkami panuje się nad krajem; jest nawet bardzo wiele szkół, w których dziatwa uczy się gęsie pióra maczać w czarnéj truciźnie i niémi 24 znamion malować. Témito 24 znakami zaczépiamy się i kaléczymy nawzajem, burzymy i niszczymy wszystko.« —

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 33. i obejmuje:

1) Co siać w koniczysku, czy ozimine, czy jarzynę? 2) Pomysł do utworzenia powszechnych kas oszczędności. 3) O lécześniu świérzby owczéj (Dokończenie). 4) Uwagi z obwodu tarnowskiego nad gorzelnictwem. 5) Wiadomości czasowe: Niektóre przedmioty i pytania na szóstém zgromadzeniu niemieckich gospodarzy wiejskich i leśnych w Stuttgardzie i t. d. (Dokończenie.)

Ner 16. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Jadwiga księżna szląska. 2) Kurs w Berdyczowie. 3) Elegija J. Podołeckiego. 4) Wiadomości literackie.

Język i jego narzecza. Już dawno powiedziano i bardzo słusznie, że duch i charakter narodu przebija się najwyraźniéj w jego języku. Słowo jako objawiona myśl, jest koniecznym wyrazem sposobu myślenia i czucia narodu, a język jako pośrednik jego duchowéj czynności z światem zewnętrznym, jako skład jego pomysłów, otwiera głęboki widok w jego wewnętrzną istotę. Z tąd naród przeświadczony o wewnętrznéj wartości swojéj, kocha przedewszystkiém swój język macierzysty. Język jest właściwą jego ojczyzną; naród, który swój język od zaguby zachowa, pozostanie narodem, choćby na północ lub na południe był zagnanym. — Szczęśliwy przeto ten naród, który śród ucisku i zmiennych kolei świata swój pierwiastkowy język zatrzyma! Język taki jest nieprzebraném źródłem nowych utworów, nie starzeje się nigdy, z zdrowego korzenia wypuszcza coraz nowy i świeży kwiat, bo jest żywym organizmem, który siłę reprodukcyjną i odmłodnienie w sobie samym zawiera.—Ale wszystko organiczne podlega koniecznym ustawom natury, i jest uczłonkowaną jednostką. Jak przeto wielki naród nakształt familii podzielony na członki, stanowi plemiona, podobnież i język jego podług plemion rozpada się na dyjalekty, które znowu w obopólnéj charakterystyce swojéj jako całość uważane, przedstawiają doskonały obraz języka, jego bogactwa i ducha. Przeto narzecza narodu są tak dawne jak plemiona jego ludu, i gruntownemu badaczowi języka, nie trudno będzie wykazać ustawy, podług których te narzecza się rozwijały.

Liszt w Rydze. Z poważaniem i odznaczeniem przyjęto i pożegnano tego wirtuoza w Rydze, ale nie pozwolono mu podwyższać zwyczajnéj ceny teatralnéj; dla tego w trzech koncertach, które wyprawił, pozostały ceny zwyczajne. Wszelako dochód Liszta z każdego koncertu podawano na 800 rubli śrébr. Wprawę i biegłość gry jego podziwiano powszechnie. Bezimienny znawca muzyki, wydał o nim w pismie publiczném takie zdanie: Thalberg. sprawia efekt szczególniéj głębokiémi tonami, Henselt wysokiémi, w których ze strón szklanne tony wywabiać umié, a Liszt włada zarówno całym instrumentem, jest on na nim uniwersalny, wszelako stara się bardziéj okazać biegłość swojéj gry, niż osiągnąć prawdziwy zamiar sztuki, to jest wyrazić i wzbudzić uczucia i namiętności. — Drugich zaś było takie zdanie, że wywabiać z instrumentu inne tony, na przykład ze strón szklanne dźwięki, jest wprawdzie sztuką, ale to zaciéra charakter instrumentu i nie odpowiada właściwym wyższym zamiarom sztuki. Obok największego uwielbienia artysty, dodawano po większéj części, że jego gra jest zimna. W téj mierze opowiadają następujący wypadek. Pewien kaznodzieja, który również jest odznaczającym muzykiem na fortepijanie, odwidził Liszta po pierwszym jego koncercie, i unosząc się nad jego grą, wyznał jednakże, że go takowa bynajmniéj nie zachwyciła, a nawet nie wzruszyła. Liszt usłyszawszy to, usiadł do fortepijanu i zagrał na nim tak czule, że kapłana aż do łez wzruszył, lecz potém oznajmił mu, iż tak tylko przed znawcami grać może, ale przed liczną i różno-rodną publicznością, którą jeżdzący za zarobkiem artysta, szczególniéj ma na względzie, takiem graniem nie uzyskałby wielkiego zadowolenia. Jeżli opowiadanie to jest prawdziwe, więc uwalnia Liszta od wszelkiego zarzutu, i okazuje, dla czego on bardziéj biegłością i bujnémi przegrawkami nie zaś prawdziwą sztuką przed publicznością się popisuje. Pomimo to wszystko, bardzo go tu podziwiano; ale nie odbiérał on tak przesadzonych hołdów, jakie mu po wielkich miastach składano. Jeden z doświadczonych psychologów zapewnia, iż to nie z tąd pochodzi, jakby w Rydze więcéj było mądrych niż gdzie indziéj, ale z tąd, że to miasto jest mniejsze, a przeto mniej ma osób tego rodzaju, które nie będąc same ani artystami ani znawcami, a przecież chcąc uchodzić za takich, przez próżność okrywają oklaskami sztukę, na któréj się wcale nie znają.

Jaskier wodny (*Ranunculus aquaticus*), podług angielskiego czasopisma: *Gardeners Chronicle*, ma mieć ważną własność, o któréjsmy dotychczas nie wiedzieli. Ładna roślina ta ozdobiona świeżą zielonością i śrébrnym połyskiem, pływa na wodach zwolna płynących rzék i spokojnych stawów. Osłania je kobiercem z jasnych liści, na których mnóstwo kwiecia nakształt jasnych żółtych kubków się wznosi. Pojawia się podczas ciepłych dni w miesiącu kwietniu, a znika śród lata. Wszelako w tym krótkim czasie, wyświadcza ludziom większą i ważniejszą przysługę, niż drzewa, które nas cieniem obdarzają. Długie, soczyste korzenie rośliny téj rozpościerają się na wszystkie strony, pod stojącą lub płynącą nad niémi wodą, i chciwie wciągają w siebie wszelką nieczystość, jaką woda w sobie zawiéra. A zatem jaskier wodny, czyli żabinek jest przyczyną, że woda szkodliwych wyziewów nie wydaje, i że nawet stojące bagna dopóty są dla ludzi nieszkodliwe, dopóki się ta roślina na nich pojawia.

Angielskie sikawki. Z Anglii poszło już w drogę kilka wzorowych sikawek do Hamburga. Jedna z tych, którą z Liwerpola posłano, pędzić ma w jednym promieniu aż po szczyt hamburskiéj giełdy kupieckiéj 4000 funtów wody. W porównaniu tak wielkiéj mechaniki, nasze narzędzia do gaszenia ognia, zdają się być tylko dziecinne zabawki.

Odkrycie wyspy Madejry. Za panowania Edwarda III. króla angielskiego, młody człowiek nazwiskiem Robert Mekain, zakochał się namiętnie w Annie Arfet, dziewczynie bardzo pięknéj i znakomitego domu. Robert był ubogi, a przytém nie był szlacheckiego urodzenia, przeto familija dziewczyny zamyśliła kochanków, którzy potajemnie się widywali, przemocą rozłączyć. Wyjednano u króla Edwarda rozkaz, na mocy którego Roberta uwięziono, a dozorca więzienia otrzymał zlecenie dopiéro wtedy wypuścić go na wolność, gdy Anna Arfet pójdzie za majętnego lorda, który niedaleko Bristolu mieszkał i za którego wydać ją postanowiono. Nareszcie Anna Arfet poszła za mąż, a Roberta na wolność wypuszczono; lecz ten dowiedziawszy się o losie swéj kochanki, poprzysiągł zemstę. W tym zamiarze wezwał kilku przyjaciół, oznajmił im swój zamysł, i razem z nimi udał się do Bristolu. Po niejakim czasie jeden z nich przyjął służbę u lorda, a tak miał sposobność oznajmić damie uczucia i zamysły Roberta. Dama usłuchała jego namowy, przyrzékając, że przystanie na wszystko aby ujść

z domu małżonka. Z tego powodu okazała się dla swego męża tkliwą, uprzedzającą, i uspiwszy pieszczotami podejrzenie, dokazała nareszcie tego, że lord pozwolił jéj z-rana w pobliżu pałacu przejéżdżać się konno, a za towarzysza obrała sobie przyjaciela Roberta. Ten czekał już na nią nad morskim brzegiém, jakoż za przybyciem jéj wszyscy troje wsiedli na łódź i dostali się do okrętu, na którym byli jego przyjaciele. Niezwłocznie puścili się do Francyi, ale żaden z nich nie umiał kierować okrętem, a na domiar nieszczęścia powstała wielka burza. Byli więc oddani na igrzysko wiatru i bałwanów bez sternika i bez dostatecznych żywności. Przez dni trzynaście błąkali się na morzu. Dnia czternastego spostrzegli z dala kraj, ku któremu wiatr ich zapędził. Kochankowie wysiedli na ląd z kilkoma swych przyjaciół, a drugich pozostawili na okręcie. Ale jakież nie było ich zdziwienie, gdy w tym ziemskim raju, na który wysiedli, żadnego człowieka nie ujrzeli. Drzewa uginały się pod ciężarem owoców, a ptactwo i połysne motyle nie ulatywały przed nimi. Niebawem dostali się na obszérną mirtami otoczoną rozłęgę, w pośrodku któréj wznosiło się wysokie drzewo, a tuż przy niém toczył strumień swe nurty. Miejsce to tak się im podobało, iż wystawili chatę i kilka dni z przyjemnością spędzili; lecz szczęście to nie długo trwało. Jednéj nocy powstała straszna burza, zerwała okręt z kotwicy i zapędziła go z zostającémi w nim przyjaciółmi na morze. Młoda dama przelękniona tym wypadkiem, zachorowała i we trzy dni umarła. Robert nie przeżył jéj i leży obok niéj pod drzewem pochowany. Pozostali przyjaciele wsiedli na łódź, któréj burza na szczęście nie porwała, i również puścili się na morze; ale doznali rozbicia na wybrzeżach Berberyi, z kąd ich jako niewolników do Maroko zaprowadzono. W więzieniu niewolników był także jeden Hiszpan, nazwiskiem: Juan de Moiabes, który z uwagą słuchał ich opowiadania, a za powrotem swym do Sewili, opowiadał całą przygodę Portugalczykowi Gonzalwo. Ten zanotował sobie wszystkie doniesienia i w skutek tychże dnia 8go czerwca 1420 odkrył wyspę Madeirę, gdzie jednę z pomniejszych zatok nazwał portem Mekaina, który jeszcze po-dziś dzień *Puerto Mechido* się nazywa. Na grobie dwojga pomienionych kochanków kazał kaplicę wystawić.

W pałacu Nerona, tak zwanym złotym domu, była jadalna sala, któréj powała i ściany poboczne obracając się około stołu, ruch ciał niebieskich przedstawiały. Za każdém daniem pojawiała się inna pora roku. Latem przedstawiano burzę, a zamiast deszczu, spadały krople wonnéj esencyi na gości.

Proza jest dama godna poważania, która ma piękne utrzymanie, dla tego téż nie potrzebuje mówić mową wiązaną. Horacy zelżył ją bardzo nie słusznie, nazywając ją: *Musa pedestris,* gdyż każdemu wiadomo, że ona ma powóz i konie, podczas gdy dumna, lecz uboga jéj spółzawodnica, poezyja, pieszo chodzić musi.

Powtórny pogrzeb Cyda i jego małżonki. Dnia 20go czerwca r. b. udały się wszystkie cywilne i wojskowe władze miasta Burgos w uroczystym orszaku do położonego niedaleko Burgos klasztoru Cerdana, dla sprowadzenia z tamtąd śmiertelnych zwłoków Cyda i małżonki jego Ximeny, gdzie je deputacyja *Ajuntamientu* przyjmowała. Za otworzeniem grobu, znaleziono kości obojga małżonków jak najdoskonaléj zachowane, ale nie było ołowianych trunien, w które je r. 1826 złożono. — Są tu powszechnie tego zdania, że je późniéj podczas zaburzeń domowych, na kule przelano. Po południu schowano zwłoki w trunnę i przykrywszy purpurowym całunem, na karawan włożono. Poczém śród szpaleru, który formowała załoga i gwardyja narodowa, ruszył orszak do Burgos, a gdy tam przybył, powitano go wystrzałami z dział. Trunnę tę złożył *ajuntamient* tymczasowie w kaplicy pałacu konsystorza, gdzie jeden z gwardzistów narodowych w cześć zmarłych małżonków ciągle stoi na straży, pokąd nie postanowią, w którém miejscu zwłoki tego bohatera godnie spoczywać mają.

W Ulmie na początku wieku XVII. była szczególniejsza kara za zabójstwo. Zabójca musiał zapłacić czterdziestu kapłanom, którzy w starym, przed miastem położonym kościele Wszystkich Świętych za duszę nieboszczyka *Miserere* śpiéwali, przytém odprawiono trzy msze święte, jednę do Świętéj Trójcy, drugą na cześć Królowéj nieba, a trzecią za duszę wszystkich prawowiernych; musiał także kupić świece, z których każda zawierała 25 funtów wosku, a sam z zarzuconą na twarz kapicą i z nadłamaną świecą w ręku, modlił się podczas pomienionych trzech mszy za duszę zabitego. Po odprawioném nabożeństwie szedł razem z księżami na grób przez wdowę po nieboszczyku wskazany, na którym tak długo krzyżem leżał, aż pokąd mu kapłan wstać nie rozkazał; poczém musiał wdowę i wszystkich jéj powinowatych prosić o przebaczenie. Oprócz tego w następnym roku musiał zabójca odbyć trzy pielgrzymki do miejsc cudami słynących, to jest: jednę do Einziedeln, drugą do Akwisgranu, trzecią do St. Joannis Stern, a nakoniec na miejscu, gdzie zabójstwo popełnił, musiał wznieść krzyż mający pięć stóp wysokości.

Wsparcie ubogich. Jak niegdyś milijonowy Amerykanin Stephen Girard, nie dał nigdy ubogiemu jałmużny, aby za swój datek nie żądał jakiéj roboty, choćby takowa była najdziwaczniejsza, tak n. p. kazał on raz kupę kamieni z jednego miejsca na drugie, a potém znowu na dawne miejsce przenosić — tak téż i Talma miał ten zwyczaj, iż za wsparcie, którego starym swoim towarzyszom udzielał, zawsze jakowéj roboty żądał. I tak jednemu z nich dawał przez długi czas dziennie po 5 franków, za co mu tenże broszurowane książki, a między innémi kompletne dzieła Woltera rozrzynać musiał. Talma nalegał zawsze, aby tę robotę bardzo pomału i przezornie wykonywał, by żadnéj kartki w książce nie uszkodził, a to jedynie w tym zamiarze, aby jak najdłużéj mógł wspiérać biednego, dla tego téż skupował mnóstwo starych broszur do rozrzynania, których, jak się domyślić można, nigdy nie czytał.

Pewna młoda bohaterka romansów wpadła w rzekę i już była blizka zatonięcia, gdy oto nagle zjawił się wybawca, wydobył ją z wody i wyciągnął na brzeg. Bohaterka nasza przyszedłszy do siebie, oświadczyła natychmiast ojcu, że za nikogo nie pójdzie, jak tylko za swojego wybawcę. — »Kochana córko«, odrzekł ojciec, »to być nie może.« — »A dla czego? Alboż on już ma żonę?« — »Nie.« — »Może to ten młody człowiek, ktory w naszem sąsiedztwie mieszka?« — »Nie, jestto brytan z Nowej Fundlandyi, wprawiony do ratowania tonących ludzi!«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.